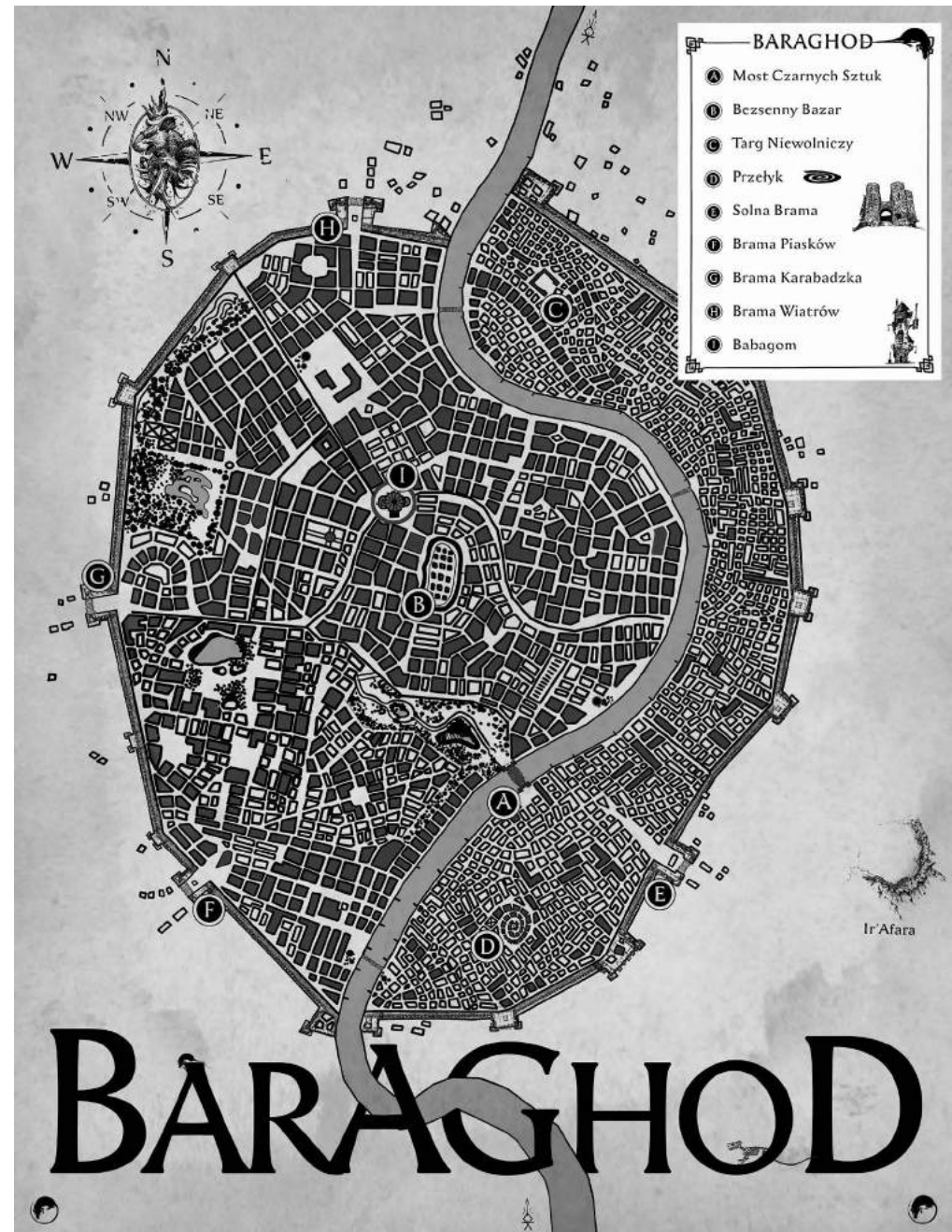


ZA KAMIEŃ
I
ZA CIEMNOŚĆ

ZA KAMIEŃ I ZA CIEMNOŚĆ

SONIA KORTA
PIOTR T. DUDEK







Król Szczurów

*Dla tych, którzy ujrzeni
wschód słońca nad pustynią
i zachód nad oceanem.*

Wciąż czasami spotyka ludzi na wyższych poziomach. Złomiarzy, kawałek po kawałku rozbierających stare maszyny wyciągowe. Szaleńców przeczesujących korytarze w poszukiwaniu źródła pieśni o kamieniu i ciemności, która rozbrzmiewa echem w kawernach i zapomnianych wyrobiskach. Górników chcących uszczknąć dla siebie odrobinę dobra, niegdyś czyniącego Baraghad potęgą – szarej soli kamiennej.

Niektórzy zapuszczają się aż na poziom czwarty, ale nie spotkał dotąd śmiałka, który odważyłby się skorzystać ze schodów wiodących na piąty. Begul śledzi czasem szabrowników, którzy z właściwą swemu gatunkowi dezynwolturą wędrują po tych wyższych poziomach, niczego się nie bojąc i zaglądając do każdej dziury, lecz zatrzymują się u szczytu schodów i nagle ogarniają ich wątpliwości. Spoglądają w czarną otchłań u swych stóp i odwracają wzrok, jakby coś odpowiadało spojrzeniem, za którym kryje się żelazna wola. Czasami, gdy opadają go przebłyśki złośliwego humoru, wabi ich w ciemność; płacze ścieżki, mami zmysły, sprawia, że znajome korytarze kłamią, a mrok zamyka się coraz ciaśniej i ciaśniej wokół jego ofiary.

Ta ciemność, tak gęsta, że niemal namacalna, wywołuje strach nie do przewyciężenia, prawdopodobnie większy nawet niż legendy o niegasnących pożarach na poziomie piątym i szóstym.

Begul bywał na piątym i szóstym. Krążące po Baraghod historie o czarnych ogniach tłących się w głębinach są mocno przesadzone. Szczury nauczyły się wyczuwać, które wyrobiska są niebezpieczne i tam Begul się nie zapuszcza. Często jednak patroluje szcurze królestwo i trafia na coś, co przykuwa jego uwagę, chociaż bowiem mieszka w kopalni dłużej, niż sięga pamięć kilku pokoleń, podziemny labirynt zawsze ma dlań jakąś niespodziankę.

Tym razem jest nią ciało. Leży twarzą do dołu, do połowy zanurzone w solance, nieruchome i sztywne od soli, która już poczęła je porastać niczym pleśń zostawioną zbyt długo pajądę chleba.

Do rzapia szybu Ur trafiają truchła ze Szcurzych Dołów.

Zwykle omija okrutny teatr z daleka. Raz, wiedziony ciekawością, poszedł zobaczyć widowisko, gdyż jego poddani dużo szeptali między sobą o grozie Szcurzych Dołów.

Ludzie, psy i gryzoni stłoczeni w komorze cuchnącej strachem, podnieceniem i głodem, przede wszystkim głodem. Begulowi zakręciło się od tego odoru w głowie, jakby zbyt długo żuł liście *qanehu*. Szczury zagryzały szczury, braci szcuto przeciw braciom, czarne potwory, hodowane specjalnie do walk, pasione krwią pobratymców, rozszarpały ciała mniejszych gryzoni, jakby mięśnie i kości były zrobione z papieru. Głodzone psy walczyły z kilkoma takimi bestiami naraz i równie często wygrywały, co ginęły wśród pisku i chrobotu pazurów. Begul uciekł stamtąd i przez długi czas omijał Szcurze Doły szerokim łukiem.

A jednak teraz tu jest, pochylony nad trupem, i słucha. Ta krew, szepczą jego poddani, opierając łapki na ciełe i unosząc łebki w stronę Króla Szcurów. Ta krew, ta krew, powąchaj.

Begul węszy i rozumie, skąd wzięła się nerwowość gryzoni. Potrafi rozpoznawać smak i zapach krwi tak dobrze, jak dawniej aromaty win. A tę krew rozpoznałby wszędzie, pośród tysiąca innych woni; jest jak drzazga w palcu, szpila w oku, rana wciąż jątrząca się pod zabliźnioną tkanką.

– Geradion – szepcze do siebie.

Solny Książę, potomek wielkiego, wielkiego rodu. To dziwne, że skończył tak marnie, ale Begul słyszał, iż w Górnym Baraghod nie kocha

się Geradionów. Wiedźma z powierzchni opowiadała mu o rzezi. Opowiadała o końcu Domu Geradiona.

Nie miało jednak znaczenia, kto zamordował akurat tego. Liczyło się to, że zwłoki trafiły tutaj, do królestwa kamienia i ciemności. Akberosz już od dawna nie ofiarował Begulowi równie cennego podarunku.

– Weźcie go sobie – mówi Król Szcurów.

Wśród szcurów wybucha wrzawa; w dawnych czasach, gdy po wygranej wojnie na ulice wytaczano beczki z winem, ludzka tłuszczka cieszyła się tak samo. Wiwatowano i krzyczano na cześć władcy, który wspaniałomyślnie postanowił świętować zwycięstwo wraz z ludem.

Tej nocy szczury uczują na ciełe Solnego Księcia, a najsmaczniejsze kąski przynoszą Begulowi. Jego ulubienica, Kalket, przychodzi do swego pana z pokornie schyloną głową, ciągnąc za sobą okrwawione serce Geradiona. Dar, mówi, dar dla władcy podziemi.

Rozdział I

Szczurze Doły

Słońce zaczęło wylaniać się znad ostrych zębów baraghodzkich wież, nim Rafi wrócił na szyb. Żołądek ścisnął mu się z głodu, a ubranie cuchnęło niczym szczurza nora, ale przystanął jeszcze na chwilę, by zerknąć na jaśniejące niebo. Mrużył oczy jak ktoś nieprzyzwyczajony do blasku.

Nadszybie Sza'Ruk, niegdyś – jeśli wierzyć opowieściom starych gwarków – imponujące, już dawno popadło w ruinę. Koczował na nim tylko jeden szybowy, który samodzielnie zbił prowizoryczne zadaszenie z kawałków przegniłego drewna i innych śmieci, i utrzymywał antyczną maszynę wyciągową oraz wentylator we względnie dobrej kondycji. Po samym szybie pozostała zaś tylko ziejąca w ziemi dziura i zardzewiała klatka zwisająca nad otchłanią.

Gdy Rafi się zbliżył, z budy stojącej koło dźwigu wypętlł stary, pokrzywiony mężczyzna w łachmanach i kapturze naciągniętym głęboko na twarz.

– Zaraza! – sarknął, spluwając śliną czerwoną od żucia liści *qanehu* i gramoląc się na nogi. – Kto to idzie? Rafi? Wołaj, jak idziesz, szczeniaku, jużem myślał, że mnie szczury opadły.

Uderzył dłonią w metalową klatkę, stojącą na wózku Rafiego. Kłębowski szczurów zaroiło się, piszcząc przenikliwie.

– Ładny zbiór – mruknął łachmaniarz. – Drą się jak opętane.

– Powłóczyłem się trochę po Dzielnicy Świątynnej. – Rafi oparł się nonszalancko o bok klatki, wyciągnął zza pazuchy drewnianą, nabitą fajeczkę i zapalił. Należało mu się po całej nocy przeczesywania ścieków, ale nawet aromat *qanehu* nie zdołał zamaskować smrodu, który podążał za nim przez całe miasto: woni szczurzego strachu, kanałów, dusznych nor. – Gówniana robota, ale można sporo nałapać. Krew je przyciąga.

– Racja, racja. Małe, ludożerne skurwysyny.

– Jak u ciebie, Madreyu? Skończyłeś już szychtę?

– A jak myślisz? Już prawie świta. Idę spać.

– Nie byłbym tego taki pewien. – Rafi sięgnął za pazuchę i pod podejrzliwym spojrzeniem Madreya wyciągnął z wewnętrznej kieszeni wełnianej kurty małą, pękatą butelkę. Nosił takich w kieszeniach zwykle po kilka; bywały zdumiewająco przydatne podczas obcowania z osobnikami pokroju starego szybowego. – Podejrzewam, że gdybyś dostał takie cudeńko, najpierw chciałbyś spróbować, jak smakuje.

– Taa? A co to za cudeńko, jeśli można spytać?

Rafi uroczystym gestem przekazał mu flaszkę. Madrey wyszarpnął korek zębami i pociągnął tyk jak ktoś, kto wie, że byłby w stanie wypić bez skrzywienia nawet płyn do balsamowania zwłok. Zamlaskał po wstępnej degustacji.

– Niezłe. Stary dobry mięsak, pędzony na ozorach hien, ze szczyptą piołunu dla wzmocnienia smaku i delikatną nutką... jakiegoś zielska.

– Rozmarynu. No, no, widzę, że mam przed sobą konesera.

– A jakże. Ja zaś mam przed sobą ciężko pracującego młodego koreima, który chciałby wrócić do domu.

– Tak jest.

– Dogadamy się.

Madrey gestem wskazał drzwi klatki. Rafi, jak zwykle z gulą w gardle, wepchnął skrzypiący wózeczek do wnętrza windy, a sam przylgnął do ściany kołyszącego się nad nicością kojca. Madrey zatrzasnął wrota szybowe i wyszczerzył w uśmiechu czerwone zęby.

– Złap się czegoś, chłopcze.

Roześmiał się ochryple i pociągnął dźwignię, a klatka poleciała w dół z hukiem, który zagłuszył nawet rejwach przerażonych szczurów.

Dawniej winda zjeżdżała na szesnaście poziomów w dół, na prawie milę głębokości, nie licząc rząpia. Szyb Sza'Ruk był największym i najszybszym w mieście, a na jego podszybiu mieściła się cała baza wypadowa kopalni, w złotej erze zatrudniającej setki pracowników i utrzymującej na pierwszym poziomie całe podziemne miasto.

Ale czasy świetności kopalni Baraghad dawno przeminęły i gdy Rafi wysiadł na poziomie pierwszym, powitała go wilgoć i ciemność, rozpraszana jedynie przez słabe światełka karbidówek, zawieszonych na stropnicach co sto kroków.

Na dole wachtę trzymał Kale, młokos, który zawsze wzdragał się na widok szczurów. Nie dziwota – pogryzły go, kiedy był mały. Ale takie rzeczy zdarzały się w kopalni bez przerwy; dzieciaki ginęły, gdy nikt ich nie pilnował, a szczury także musiały coś jeść.

– Szczyście bogowie – mruknął Kale na powitanie, nie patrząc jednak na Rafiego, lecz śledząc wzrokiem mały, włochaty pyszczek, który właśnie wychynął z kieszeni kurty szczurołapa.

– Szczyście i tobie. – Rafi dotknął dwoma palcami brzegu kaptura. Nie dbając o delikatność, wyszarpnął wózek z klatki i nie mogąc odmówić sobie drobnej złośliwości, przejechał tuż obok skamieniałego Kalego. – Przekaż pozdrowienia ojcu. Ode mnie i od Amika – dodał, wyciągając z kieszeni zaspanego białego szczurka. Amik ziewnął, jakby chciał pochwalić się ostrymi, żółtymi zębami.

Kale skrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

– Dziękuję, Rafi.

– Miłej wachty.

Ruszył ciemnym korytarzem, starając się trzymać prawej strony, gdyż po lewej biegły stare, rdzewiejące tory. Raz, dawno temu, koła wózka zaklinowały się w szynach, a gdy próbował go wyszarpnąć, klatka ze szczurami poleciała na bok. Zatrząsk puścił i Rafiego otoczył rój wściekłych szczurów. Gdyby w czasie ucieczki nie zbił lampy, pewnie by go zagryzły. Zamiast tego spłonęły, a wraz z nimi solidny zarobek, Rafi zaś, w miejsce pieniędzy i antałka wina, dostał reprimendę od sztygara za rozniecenie ognia i wywołanie pożaru. Nie trafił do karceru tylko dlatego, że rada uznała „okoliczności łagodzące”.

Od tamtej pory trzymał się prawej strony korytarza.

Ramiona go rozbolały od pchania wózka, nim wreszcie ujrzał światło: stłumione i liche, ale jednak światło. Wkrótce dostrzegł zarys masywnych, drewnianych tam i przyspieszył kroku. Gdy otworzył pierwsze skrzydło, wiatr niemal wepchnął go do środka. Zawył koło uszu chłopaka jak pustynne widmo, a z klatki dobiegły jeszcze intensywniejsze piski.

Po drugiej stronie zrobiło się cieplej, ale wciąż czekał go długi spacer do Komory Czat. Pierwszy poziom kopalni nadal był zamieszkały. Puste komory, komnaty i tunele zagarnęli dla siebie głównie koreimowie, ziomkowie Rafiego, ale wśród mieszkańców podziemi spotykało się także wielu starych górników, którzy po Upadku Geradionów stracili domy, pracę i źródło utrzymania. Pierwszy poziom był dla nich jak dom. Nawet na drugim tętniło życie.

Na trzeci zapuszczali się już tylko szaleńcy i zdesperowani poszukiwacze przygód, albo górnicy nielegalnie eksploatujący pozostałe złoża.

Na czwarty starzy gwarkowie schodzili, by umrzeć.

A niżej... Niżej była już tylko ciemność.

*

Przeszedł przez Komorę Czat, która składała się właściwie z całego kilkupiętrowego kompleksu połączonych ze sobą mniejszych i większych komnat. Mimo faktycznego ogromu, wydawała się dość ciasna, wypełniał ją bowiem labirynt namiotów, rozchwianych bud postawionych z drewna obrosniętego solą i skórzastych chałupek, pomiędzy którymi, jak w powierzchniowym mieście, kręcili się koreimowie. Rafi kluczył między straganami pełnymi nadgniętych owoców i intensywnie pachnących przypraw, a przechodnie schodzili mu z drogi jakby był trędotawy. Rafiemu to odpowiadało – przynajmniej nie musiał się przepychać, a zawartość wózka budziła na tyle duże zainteresowanie, że nikt nie zwracał uwagi na pojedyncze owoce czy pszenne placki znikające ze straganów. Zawód szczurołapa wymagał zręcznych dłoni.

Skręcił na północ, w poprzecznik Goły, wykuty w litej skale bez choćby jednej belki do podparcia stropu. Od ociosów emanował chłód,

a powietrze pachniało solą. Chodnik opadał nieznacznie i Rafi musiał mocno trzymać wózek, by nie odjechał samotnie w ciemność i nie roztrzaskał się gdzieś na zakręcie. Miał przeczucie, że tym razem sztygar nie podarowałby zaproszenia ognia.

Korytarz kończył się rozwidleniem – z prawej wpadał w podłużnik zwany Wschodnim Traktem, najdłuższy chodnik kopalni, prowadzący wiele mil za miasto. Kończył się ziemią niczyją: szybikiem scalającym kopalnię Baraghad z kopalnią w Waradzie.

Rafi skręcił w lewo i przedostał się przez kolejne tamy, tym razem metalowe, nabijane kolcami i z otworami, dzięki którym strzelcy mogli w razie potrzeby trzymać intruzów na dystans. Ponad drzwiami wisiała flaga przedstawiająca czerwoną, szczurzą głowę z wyszczerzonymi zębiskami i niezgrabnie wykonanym napisem: *Szczurze Doły witają!*

Tak jak Rafi się spodziewał, w wyścielanej wytartym dywanem wnęce przy wejściu siedział Isair. Ćmił fajkę, wypuszczając nosem aromatyczny dym.

– Bogowie sprzyjajcie wszystkim przekłętym – przywitał się Rafi. – Pięknie pachnie. Dobry szczep.

– Najlepszy – odparł Isair melodyjnie, po habijsku przeciągając samogłoski. – Witaj, *gam*.

– Już tyle razy prosiłem, żebyś mnie tak nie nazywał. Jestem koreimem, nie karłem.

Isair wzruszył ramionami, ciemne oczy o rozszerzonych źrenicach pozostały nieprzeniknione. Podniósł rzeźbioną fajkę do ust i zaciągnął się z wyraźną przyjemnością.

– Dla mnie jesteś.

Isair wywodził się spośród Ludzi Drogi, z jednego z koczowniczych klanów odległej Habii, a jego lud odznaczał się wysokim wzrostem, smukłą sylwetką i pięknymi rysami. Habijczykowi przedstawiciel niskiego, szczupłego plemienia koreimów prezentował się niezbyt imponująco.

– Mordechai zajęty? – Rafi zmienił temat i wskazał klatkę ze szczurami. – Mam dla niego nowy towar.

– Idź. Jakiś *ger* przyprowadził właśnie hieny, Mordechai sprawdza, ile są warte. Będzie miał na czym je ćwiczyć.

– Może sobie z tymi szczurami robić, co mu się żywnie podoba, ale dopiero, jak za nie zapłaci – odparł Rafi. – Pochodzą z Dzielnicy Świątynnej, wyrosły na krwi i mięsie. Będą się bić jak diabły. Są warte każdej ceny, a moja jest niezbyt wygórowana: srebrny *fasi* za całą czeredkę.

– Zastanawiałem się, cóż to za przekupka przylazła zachwalać swój towar – odezwał się ochryply głos – a to tylko mój ulubiony *gam*, Rafi.

Rafi odwrócił się. Z wąskiego gardła chodnika wyłonił się zgarbiony, czarniawy mężczyzna. Nie miał w sobie nawet kropli koreimskiej krwi, ale wcale nie przewyższał wzrostem tych, których określał słowem *gam*. Rafiemu rzuciły się w oczy wykonane z grubej skóry, sterane ochraniające na przedramionach. Chyba rzeczywiście sprawdzał, ile warte są jego nowe hieny.

– Mordechai. – Rafi położył dłoń na piersi i skłonił z szacunkiem głowę przed treserem hien i zarządcą Szczurzych Dołów. Komu jak komu, ale Mordechaiowi respekt się należał. Różne krążyły o nim opowieści, a jeśli choć połowa z nich mówiła prawdę, to jedyną groźniejszą od niego istotą w kopalni był sam Król Szczurów.

– Chodź, chodź, nie dygaj jak nadobna dziewica pierwszego dnia w burdelu. Właśnie zamierzałem pobawić się z moim stadkiem... Nie, nie z hienami, nie mam w głowie na tyle źle, żeby wskakiwać do kojca w samych skórzanych ochraniaczach. Nie, mówię o szczurkach. Widzę, że ty też masz tu całkiem znośną gromadkę.

Pochylił się nad klatką i z uśmiechem zlustrował rojowisko gryzoni.

– Z Aynchanudad, mówisz? Daleko się zapuściłeś.

– Daleko. Dlatego liczę, że moje strudzone nogi i obolały grzbiet dostaną jakieś miłe zadośćuczynienie za ten wyzysk, którego się na nich dopuściłem.

– Oj, Rafi. – Mordechai zacmokał. – Wiesz, że nie mogę tak po prostu wierzyć na słowo każdemu dzieciakowi, który przyłazi tu z workiem pełnym zmaltretowanych gryzoni i twierdzi, że zrobi z nich mordercze bestie. Połowa tych zwierzątek wyzdycha w ciągu dwóch dni, a z reszty może dwa, trzy przetrwają dłużej niż jedną walkę. Wiesz o tym.

– Ja mam nosa. Zawiodłem cię kiedyś?

– No, muszę przyznać, że...

– No właśnie. – Rafi poufałym gestem poklepał mężczyznę po ramieniu. – Daj im szansę, Mordechaiu. Skapnij troszkę krwi na piasek i zobaczymy, do czego są zdolne.

Mordechai zmierzył go zamyślonym wzrokiem. Z jego twarzy zniknął jowialny uśmiech; brak miejsca na żarty tam, gdzie trzeba przybić umowę.

– Zgoda – powiedział w końcu. – Bierz wózek i jedziemy.

Poprowadził Rafiego wąskim chodnikiem, oświetlonym porządnymi, niezabudowanymi lampami. Tu nikt się nie przejmował prawem górniczym, żaden sztygar nie łaził i nie szukał otwartego ognia, i wszyscy jakoś żyli. Nie to, co w Komorze Czat, gdzie mieszkańcy kulili się wokół karbidówek i zamiast gorącej herbaty pili zsiadłe mleko wynędzniałych kóz, które jakimś cudem nie zmarniały jeszcze w ciemnościach.

Gdy dotarli do schodów, musiał zostawić wózek i wziąć klatkę na rękę, uprzednio założywszy wysłużone rękawice. Starał się trzymać dłoń z dala od szczurzych pysków, ale ostre zęby i tak kilkakrotnie szarpnęły grubą skórę. Schody poprowadziły ich do niskiej, długiej komory o surowych ścianach i błotnistym spągu. Po lewej otwierał się szeroki korytarz, prowadzący do rzepia szybu Ur – stąd wilgoć i zapach.

Pośrodku komory wykopano trzy głębokie na kilka stóp doły o ścianach z nieheblowanych bali i piaszczystym podłożu. Do tych dziur wrzucano szczury, psy, hieny – i szczuto je na siebie ku uciechu gawieździ. Do walk zgłaszało się także wielu ludzi, którzy potrzebowali zarobku, a mieli talent do bitki. Mordechai nie wybrzydzał. W dołach walczyli pustynni derwisze ze swymi śmiercionośnymi, zakrzywionymi mieczami i czarnoskórzy pięściarze z Karabadu; starzy żołnierze i szebalińscy mistrzowie zatrutych ostrzy; konwojenci strzegący karawan przed zbójcami i strażnicy miejscy, którzy na czas walk zrzucali mundury i zapominali o czymś takim jak reguły i kodeksy. Szczurze Doły. Owiane złą sławą na powierzchni, ale uwielbiane w podziemiach. Mieszkańcy Górnego Baraghod mają swoje teatry, tancerzy i ulicznych proroków Beloszema, pomyślał Rafi, a my mamy Szczurze Doły. A ja, dodał z gorzkim zadowoleniem, ja mam dzięki nim pracę.

Usłyszał warkot i obejrzał się. Oparty o ocios siedział żylasty, czarnowłosy mężczyzna o twarzy zasłoniętej ciemnym zawojem. Wędrowiec z isztareckich pustyń, łowca hien, a pewnie także niewolników. Dwie hieny siedziały zresztą obok, obie na łańcuchach, lecz Rafi i tak za nic nie podszedłby bliżej. Ich szczęki wyglądały, jakby były zdolne zmiażdżyć kark dorosłego człowieka jednym kłapnięciem. Ku cichemu przerażeniu Rafiego bestie wyraźnie pobudziły się na widok szczurów. Gryzonie wyczuły zagrożenie i panicznie napały na ściany klatki. Rafi ledwie zdołał ją utrzymać.

– Stawiaj, będzie wygodniej. – Mordechai poprawił skórzane ochraniacze, otworzył klatkę i sięgnął do środka. Po kilku próbach udało mu się schwytać tłustego, czarnego szczura o zmierzwionym futrze i oszalałych oczach. Zwierzę próbowało wyrwać się i gryźć, ale Mordechai złapał je za kark jak jadowitego węża i unieruchomił. – Wojownik. Może jednak coś z nich będzie.

Rafi poczuł, że coś rusza się w jego kieszeni. Zerknął w dół; odpowiedziało mu spojrzenie bystrych, czarnych oczu Amika.

Mordechai też go zauważył i uśmiechnął się.

– Nadal nosisz tego małego potwora?

– To mój najlepszy przyjaciel.

– To bestia wcielona. Żadnego z moich szczurów nie zapamiętałem tak, jak jego, mało mi palca nie odgryzł. Skurwiel był najlepszy. Do dziś się zastanawiam, dlaczego ci go sprzedałem.

– Bo mało ci palca nie odgryzł. – Rafi uśmiechnął się pod nosem.

– Racja... To cud, że udało ci się go oswoić.

– Cierpliwość i najlepsze kawałki mięsa to klucz do sukcesu.

– No tak. – Mordechai pokiwał głową. – Pierwszego nie mam w nadmiarze, a drugiego mi szkoda. Dobra, sprawdźmy, do czego nadaje się ten mały *szek*.

Mówiąc to, wrzucił walecznego szczura do dołu. Gryzoń wylądował na boku, lecz natychmiast poderwał się i rzucił w stronę ścian, desperacko drapiąc pazurkami w drewno i próbując znaleźć punkt zaczepienia. Amik zareagował na piski pobratymca, z zaciekawieniem strzygąc uszami.

– Dzielny malec – mruknął Mordechai. Odwrócił się i krzyknął w stronę dwóch chłopaków, sprząających jeden z pozostałych dołów: – Ejże! Niech któryś skoczy po Kłapacza!

Bosy chłopiec natychmiast poderwał się z miejsca. Wrócił chwilę później, prowadząc na sznurku małego pieska barwy pieprzu zmieszanego z solą, mniejszego niż większość szczurów, które Rafi na co dzień widywał w kanałach. Imię zawdzięczał śmiesznemu dźwiękowi, który wydawał w czasie biegu. Ktoś kiedyś kopniakiem przetrącił mu zuchwę, która zrosła się krzywo i pies nie dawał już rady jej domknąć. Był weteranem walk w Szczurzych Dołach, ale teraz, stary, prawie ślepy i niezdolny zacisnąć szczęk, nadawał się jedynie do walk treningowych. Był też jedynym dowodem na to, że Mordechai ma serce, bo choć zwykle zarządca Szczurzych Dołów nie odczuwał sentymentu, to nie mógł zmusić się do dobicia starego kundla.

– Chodź tu, psinko.

Mordechai potar mosił uszy Kłapacza, po czym zszedł z nim po odczepianej drabince i dał psu lekkiego klapsa w zadek. Pies zaszczekał i zakręcił się w miejscu, jakby w pierwszej chwili nie zauważył skulonego pod ścianą szczura.

Naraz jednak dotarł do niego zapach gryzonia, lub może zauważył go mimo pokrytego bielmem oka, i z wściekłym ujadaniem rzucił się w stronę przeciwnika.

Szczur wystrzelił jak bełt z kuszy, czarna rozmazana plama. Usłyszeli skomlenie, pisk i gęsta krew trysnęła na ściany dołu.

– Kurwa mać! – Mordechai pochylił się nad krawędzią, a Rafi poszedł w jego ślady. Ujrzał Kłapacza stojącego pośrodku dołu i szczura skulonego na powrót pod ścianą. Pozornie nic się nie zmieniło, zupełnie jakby ostatnich parę chwil nie miało miejsca. Jednak nagle Kłapacz zachwiał się, jakby ktoś napoił go wódką i padł na bok, a krew z rozszarpanego gardła poczęła sączyć się na piach.

– No, no – powiedział Mordechai – trzeba przyznać, że tego się nie spodziewałem.

– Trzeba przyznać – mruknął Rafi – że ja również.

– Szkoda psa. Dobry był z niego worek treningowy.

– Przykro mi.

– E, życie. – Mordechai wzruszył ramionami. – Zresztą o to chodzi, nie? Ma być widowiskowo.

– Czyli dobijamy targu? – zapytał ostrożnie Rafi.

Mordechai wyciągnął rękę.

– Dobijamy.

*

Wrócił do Komory Czat pijany samozadowoleniem i natychmiast kupił flaszkę piołunówki. Ostatecznie wytargował za szczury cenę pięćdziesięciu *szudów*, czyli prawie jednego *fasi*, i nie mógł się powstrzymać przed wydaniem choć kilku miedzianych monet, które brzęczały w kieszeni jego spodni. Jak do tej pory był to najlepszy zarobek w jego życiu. Oprócz zapłaty otrzymał także osobiste zaproszenie od Mordechaia na jutrzejszą walkę. Zarządca Szczurzych Dołów nabrał wody w usta, ale podobno kroilo się coś dużego, jakiś poważny zawodnik, ale cicho sza, jeśli komuś piśniesz choć słowo, stracisz jaja, i tak dalej.

W koreimskim obozowisku dzieciarnia zgromadziła się wokół lśniącej czerwonawym światłem szczurzej latarni, by jak co wieczór posłuchać opowieści Starego Beniamina.

Kiedyś był sztygarem: dawno temu, jeszcze za czasów Geradionów, przed wielkim pożarem, który pochłonął kopalnię. Budował pewnie z połowę nowszych korytarzy i pracował przy umacnianiu starszych. Widział w podziemiach takie cuda, że nawet dzieciaki nie wierzyły w jego opowieści. Rafi wierzył. Zbyt często plątał się po opuszczonych wyrobiskach Baraghad, by pochopnie osądzać prawdziwość czyichś słów.

Tego wieczoru Beniamin snuł historię, którą Rafi znał na pamięć, ale że była jedną z jego ulubionych, przysiadł na ziemi u stóp staruszka, by posłuchać.

– Wśród podziemnych szczurów krąży pewna opowieść – mówił Beniamin. – Nikt nie zna tej historii w całości, gdyż szczury dzielą się swoimi baśniami jedynie z nielicznymi, ale ta jest dla nich szczególnie ważna. Opowiada o tym, jak w zamierzchłych czasach, których

nawet najstarsi gwarkowie nie pomną, pewien człowiek zstąpił do podziemi, wygnany przez ludzi ze świata na powierzchnię. Za co skazano go na taką karę? Nie wiadomo, lecz jego grzechy musiały być ciężkie, gdyż kiedy zjawił się w kopalni, nosił maskę wstydu, a takiej maski nie nakłada się bez przyczyny. Trafił więc do podziemi, przerażony ciemnością i dręczony przez głód i pragnienie, a wśród szczurów szybko rozniosła się wieść, że po korytarzach snuje się obcy o żelaznej twarzy. Szczury to ciekawskie istoty. Chciały wiedzieć, kim jest i czemu nawiedza ciemność, krzycząc i płacząc. Odnalazły go w labiryncie i zaprowadziły do leża, w którym gnieździł się klan. Przyniosły mu do ogryzienia rzemień, aby miał czym oszukać głód, a człowiek go pożarł. Przyniosły zgniłe owoce i je także pożarł. Przynosiły szczurze jedzenie, bo skąd mogły wiedzieć, czym żywią się ludzie? Spleśniały ser, psie kości, surowe jaja oraz złe jaja, wypełnione krwią, pożywne i sycące. Wszystko zniknęło w zębach człowieka, który powoli odzyskiwał siły. Szczury uwolniły go od maski, przegryzając rzemień, a on, by okazać wdzięczność, wskazał gryzoniom, gdzie na powierzchni najłatwiej zdobyć pożywienie. Kiedy znalazły w podziemiach trupa zagubionego gwarka, pomógł im przeciągnąć go do leża. W zamian przyniosły mu serce wyrwane z martwego ciała: było jeszcze ciepłe, wyczuwał w nim życie, kiedy wgryzał się w mięso i rozrywał je zębami, choć to żmudny wysiłek, gdyż nie do tego służą ludzkie zęby. Ale wtedy, a w to przynajmniej wierzą szczury, coś się zmieniło i odkąd człowiek po raz pierwszy skosztował ludzkiego mięsa, czas przestał się go imać. Zrozumiał, że to jego szansa. Jeśli będzie dostatecznie długo żywił się człowieczym ciałem i krwią, stanie się dosyć potężny, by pewnego dnia opuścić podziemia i wyrzucić zemstę na tych, którzy stracili go w ciemność. Człowiek pomyślał również: szczurze kły lepiej się do tego nadają. Powiniennem spiłować moje zęby tak, by były ostrzejsze niż noże.

Tak uczynił i teraz, gdy się uśmiecha, w jego ustach widnieje rząd ostrych kłów, którymi może przegryzać gardła i odrywać mięso od kości. Dni zmieniły się w lata, a lata w całe wieki. Ludzie, którym poprzysiągł zemstę, pomarli i stali się piachem, ale ich krew nie ostygła wraz z nimi, więc człek ów, który człowiekiem od dawna już nie jest, nadal czai się

gdzieś w ciemności najgłębszych sztolni, wiecznie głodny, polując na nieuważnych i głupców, którzy zapuszczają się zbyt daleko. I czeka na swoją zemstę. Czasami nachodzi go szczególnie silna ochota, by spróbować ciepłej, żywej krwi, a wówczas posyła szczury, by przeczesaly korytarze w poszukiwaniu ofiary. Szczury zaczęły nazywać go królem, Królem Szczurów, choć wcześniej nie było w ich języku tego słowa. Kiedy zobaczycie znaki wymalowane krwią lub ochrą na ścianach i ociosach, uciekajcie. Dwanaście szczurzych ogonów splecionych w węzeł, który przypomina promieniste słońce. To godło Króla Szczurów i oznacza, że dalsza droga prowadzi prosto w jego łapy.

Gdy Benjamin skończył opowiadać, dzieciarnia natychmiast opadła go ze wszystkich stron, prosząc o więcej. Rafi uśmiechnął się pod nosem. Kiedy sam był smarkaczem, także nigdy nie miał dość opowieści starego gwarka. Często krwawe i straszne, opowiadały o mroku i smutku, ale przynajmniej do pewnego stopnia zaspokajały ciekawość świata. Większość koreimskich dzieci rzadko opuszczała Komorę Czat. Tunele były zbyt niebezpieczne, a utrata dziecka zawsze stanowiła dla plemienia nie lada cios.

Nie zostało ich wielu – ledwie parę setek, oczywiście nie licząc tych rozproszonych po Górnym Baraghod, udających powierzchniowców. Wiedli, jak powtarzano w podziemiach, żalosną egzystencję – koreimowie nigdy nie przyzwyczaili się do życia na powierzchni. Przychodzili na świat i umierali pod ziemią; światło słońca parzyło ich skórę i raniło oczy. A jednak zawsze za nim tęsknili.

Do takich jak Stary Benjamin należało wybicie młodemu tej tęsknoty z głowy.

Rafi przysiadł obok. Na widok faszki staruszkowi zalśniły oczy.

– Rafi Szczurołap – powiedział z twardym, koreimskim akcentem. – Chłuba i duma naszego plemienia.

– Stary Benjamin. – Rafi wznosił faszkę. – Maruda, który zawsze ma na podorzędu sarkastyczną uwagę, żeby przypadkiem nie dało się z nim spędzić miłego wieczoru przy wódeczce.

– Bredzisz, młodzieńcze. A teraz daj staremu łyka, żeby miał czym przepłukać gardło przed następną porcją kąśliwych uwag.

Napili się, skrzywili i westchnęli, gdy wódka zapłonęła w przelykach. Nic tak nie rozgrzewało kości w czasie długich kopalnianych nocy jak piekący alkohol.

– No – odezwał się Rafi – to co słyszeć w podziemiach?

– W podziemiach wszystko po staremu, tu nigdy nic się nie zmienia – odparł Beniamin. – Chyba że akurat jakiś głupiec bawi się ogniem.

Rafi przez chwilę zastanawiał się, czy stary przepija do Upadku, który był przecież jedną wielką, kurewską zmianą dla wszystkich mieszkańców Baraghod, zarówno Dolnego, jak i Górnego, czy też może do jego małego wypadku ze szczurami i lampą naftową. Szybko uznał jednak, że takie dywagacje nie mają sensu, a dociekania mogłyby być niebezpieczne. Milczał więc, uparcie ignorując krzywy uśmiech przypatrującego mu się Beniamina. W końcu bajorz odchrząknął.

– Opowiedz lepiej, co słyszeć na świecie. Albo pozwól mi zgadnąć: upadek obyczajów, dekadencja, zgnilizna moralna, terror i szalejąca patologia.

– Skupiasz się tylko na tym, co najlepsze.

Beniamin prychnął. Koreim do szpiku kości, świata z powierzchni nie lubił, nie rozumiał i pogardzał wszystkimi członkami plemina, którzy decydowali się na życie z powierzchniowcami.

– Nie potrafię zrozumieć, co młodzież widzi w Górnym Baraghod. – Wziął kolejny łyk. – To miasto powstało na największym solnym złożu świata, jego serce jest tutaj, pod ziemią.

– Serce sercem, ale z samej dumy z powodu bycia głębinowcem człowiek nie wyżyje.

– Ja nigdy nie opuszczam kopalni i jakoś daję radę.

– A kiedy ostatni raz było cię stać na wódkę?

Beniamin przewrócił oczami. Cieszył się wielkim szacunkiem społeczności koreimów, należał do Rady Starszych, lud o niego dbał, głodny nie chodził, ale odkąd kopalnia upadła, nie miał w rękach monety o nominale wyższym od *szuda*.

– Przynajmniej nie złoścę bogów.

Rafi westchnął jak zwykle, gdy stary gwarek schodził na temat bogów. Lata temu, nim nastały czasy Beloszema, Zamarzniętego Boga

z Północy, baraghodzcy górnicy modlili się do boga-szczura, patrona podziemi. W ciemnościach ukrytych kapliczek błagali: „Szczęść nam, boże, w głębinach świata, pozwól na noc wrócić do domu”. Wojownicy kierowali modły do boga-hieny, aby użyczył im siły i sprytu. Czarownicy i alchemicy prosili o łaskę boga-sępa, strażnika wszystkich tajemnic. Teraz zaś każdy złapany na otwartym oddawaniu czci któremuś ze starych bóstw mógł skończyć w lochach świątyni Beloszema – jedy-nych podziemiach, gdzie bóg-szczur nie mógł usłyszeć ich krzyków.

– Jeśli bogowie mają problem z moimi sposobami zarabiania, mogą powiedzieć wprost, prawda? – Rafi założył ręce na piersi. Pokręcił głową, gdy Beniamin próbował przekazać mu butelkę. – Pij, staruszk.

– Rodzice źle cię wychowali – powiedział Beniamin, skwapliwie korzystając jednak ze świeżo nabytego prawa własności do butelki. – W bogów nie wierzysz, tradycji nie szanujesz, włóczysz się po powierzchni, jakbyś należał do tamtego świata... Ale do czasu, pomnij moje słowa, wszystko do czasu. Ludzie nie przyjmą cię z otwartymi ramionami, jak swojaka.

– Znowu te podziały, ludzie i koreimowie, jakbyśmy byli dwiema różnymi rzeczami. – Rafi skrzywił się. – Jestem takim samym człowiekiem jak pan Babagom.

Beniamin wybuchnął śmiechem i aż klepnął się po kolanach.

– Dobrze, dobrze. A czy pan Babagom o tym wie? Czy pan Babagom ten fakt akceptuje? Czy jakikolwiek powierzchniowiec by to zaakceptował?

– Kiedyś będą musieli.

– Kiedyś, kiedyś. Prędeż Król Szczurów wyjdzie na powierzchnię i zacznie sprzedawać na targu plecione bransoletki jak karabadzka sierotka.